Nr. 11. Lwów, dnia 1. czerwca 1910. Rok XXXIII.



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

XIV. Zjazd łowiecki

odbył się dnia 28. maja. Na tegoroczne Walne Zgromadzenie przybyło więcej, niż roku zeszłego, członków, a przedewszystkiem przybyli ci najgorliwsi, którzy już wielokrotnie dali dowody, że im rozwój naszego łowiectwa i nierozdzielnego z niem naszego Towarzystwa zawsze na sercu leży.

Obrady i ożywione dyskusje, wnioski i interpelacje, robiły na słuchaczach dodatnie bardzo wrażenie.

Zdaje się, że ta gęsta mgła apatji, w jakiej członkowie nasi przez wiele lat pogrążeni, milczeli słowem i piórem, ustąpiła, daj Boże — bezpowrotnie.

Zrozumieli oni niebezpieczeństwo, jakie nam grozi, poczuli ważność przełomowej chwili, w jakiej się nasze łowiectwo znajduje.

Strzelanie premiowe odbyło się po południu przy mniej licznym, niż zwykle, współudziale strzelających. — Kilku z zawsze dotąd udział w tej naszej dorocznej zabawie biorących wyjechało na wystawę do Wiednia. Pogoda, choć jak co roku w zupełności nam dopisała, groziła przed południem deszczem i piorunami.

Może to było powodem skąpszego, niż zwykle udziału w strzelaniu. Mimo to jednak wypadło ono świetnie i miłą pamiątką chwili zapisze się w pamięci uczestników XIV. Zjazdu łowieckiego.

Pozwalamy sobie podziękować wszystkim, którzy do uświetnienia tego naszego święta jakimkolwiek sposobem się przyczynili. A więc za ofiarowane, piękne honorowe nagrody składamy dzięki Ekscelencjom: Komenderującemu, ge-

nerałowi piechoty Schoedlerowi, Marszałkowi krajowemu hr. Badeniemu, hr. prezesowi Stadnickiemu, Witoldowi Korytowskiemu — pp.: hr Juljuszowi Aleks. Bielskiemu, hr. Stan. Mycielskiemu, pani Emilji Jędrzejowiczowej, p. Włodz. Barańskiemu, Eustachemu Rylskiemu, Marjanowi Jaroszyńskiemu, Władysławowi Długoszowi, Henrykowi Prekowi, Dr. Ant. Zollowi, Stanisł. Gołaszewskiemu, Kazim. Marmaroszowi, ks. Jerzemu Lubomirskiemu, Firmie Dzikowski, Towarzystwom: lisowickiemu, bełzkiemu i słobodeckiemu. Eksc. Komenderującemu dziękujemy nadto za udzielenie nam strzelnicy i muzyki wojskowej, a korpusowi oficerskiemu za nagrodę i współudział w zabawie, Komendzie zaś strzelnicy wojskowej za uprzejmą pomoc w jej urządzeniu.

Dyrekcji gal. Towarzystwa kredytowego składamy najuprzejmiejszą podziękę za udzielenie nam sali na obrady.

Sprawozdanie z obrad XIV. Zjazdu łowieckiego.

O godz. 10. przy współudziale 43 członków, otwiera obrady prezes Towarzystwa, JE. Stanisław hr Stadnicki.

W zagajeniu swem porusza Prezes sprawę nowej ustawy łowieckiej, a przedewszystkiem nowo wprowadzonej instytucji sądów rozjemczych, przyczem apeluje do delegatów Towarzystwa, by stali na straży stosunków łowieckich w powiatach, ich pieczy powierzonych, a w sądach rozjemczych starali się zawsze czynny brać udział ze względu na niebezpieczeństwo dla kultury łowieckiej, jakie te sądy, jeśli stronnicze będą wydawały wyroki, przedstawiają.

Następnie poświęca Prezes słów kilka Wystawie łowieckiej w Wiedniu, w której udział naszego kraju wypadł bardzo zadawalająco, przyczem podnosi zasługi Prezydjum naszego komitetu wystawowego i najgorliwszych jego członków, pp. Drahonowsky'ego, Krogulskiego i Mniszka. Wreszcie poświęca Prezes wspomnienie zmarłym w okresie od ostatniego Zjazdu członkom Towarzystwa. Tworzą oni w tym roku szereg bardzo długi. Zmarli mianowicie: Artwiński Mieczysław, Cetner hr. Albert, Cieński Zygmunt, ks. Czartoryski Zdzisław, Czerkawski Władysław, Groetschl Artur, Janowski Franciszek, Kapliński Bolesław, Korwin Mieczysław, Kudelski Felicyan, Dr. Marynowski Józef, Michałowski Józef, Mycielski hr. Piotr, Obmiński Juliusz, Romowicz Leon, Sander Edmund, Slama Jan, Starzeński hr. Edward, Tarnowski hr. Stanisław, Wachowicz Ignacy, Wczelik Alojzy, Weissenwolf hr. Jadwiga, Wohlfahrt Zdzisław, Zadurowicz Aleksander, Żukowski Stanisław. Obecni przez powstanie z miejsc hołd im oddają.

Po odczytaniu i zatwierdzeniu protokołu z ostatniego Walnego Zgromadzenia, zabiera głos Dr. Władysław Sołowij w sprawie wniosku Dra Sandera o reorganizacyi gal. Towarzystwa łowieckiego, jako referent w imieniu Wydziału.

Mowca przedstawia powody, dla których Wydział Towarzystwa nie przedkłada Walnemu Zgromadzeniu konkretnych wniosków co do zmiany statutu w myśl zeszłorocznego wniosku p. Dra Sandera.

Wydział uznaje pożyteczność i zdrową myśl, zawartą we wniosku p. Dra Sandera, wobec bowiem ciągłego niedomagania powiatowych delegatur, zachodzi konieczna potrzeba gruntownego zreformowania reprezentacji powiatowych. Wydział sądzi jednak, że wobec wprowadzenia świeżo w życie ustawy łowieckiej, byłoby nie na czasie, już obecnie przeprowadzać gruntowną reformę, a raczej wskazanem jest przeczekać, aż doświadczenia praktyczne przy zastosowaniu ustawy wskażą najlepsze drogi i najwłaściwsze środki.

Dr. Sander sprzeciwia się mniemaniu, jakoby teraźniejsza chwila była nieodpowiednią do wprowadzenia w życie proponowanej przez niego, względnie przez komisję statutową reorganizacji Towarzystwa.

Przeciwnie, nowa ustawa zawiera wiele niebezpieczeństw, wiele niejasnej kodyfikacji, która rozmaicie komentowaną być może. Instytucję delegatów uważa mowca za przestarzałą i za słabą, by mogła w tak ważnej chwili dodatnio czuwać nad racjonalnem wykonywaniem łowiectwa i sprawiedliwem stosowaniem ustawy. Stawia więc wniosek, by Wydział w terminie jak najkrótszym zwołał nadzwyczajne Walne Zgromadzenie i przedłożył mu do zatwierdzenia projekt nowego statutu Towarzystwa, opracowany przez komisję.

Po długiej i ożywionej dyskusji, w której zabierali głos pp. Marjan Jaroszyński, Stenzel, Wysocki, wiceprezes Krogulski i inni, przyjęło Walne Zgromadzenie ów wniosek, jak również i wniosek drugi Dra Sandera, by projekt nowego statutu wydrukowany był w „Łowcu".

Sprawozdanie z czynności Wydziału przyjęto do zatwierdzającej wiadomości. Również na wniosek członka komisyi rewizyjnej p. Winiarza, pełen wyrazów uznania za wzorową administrację, udzielono Wydziałowi z zamknięcia rachunków za r. 1909., absolutorjum.

Z kolei uchwalono preliminarz na r. 1910., a przy tym punkcie obrad zabrał głos dr. Miziewicz i postawił imieniem Wydziału wniosek o podwyższenie wkładki rocznej członka Towarzystwa z 10 na 12 kor. Wniosek ten motywował mowca tem, że koszta redakcyi „Łowca" i Administracyi biura Towarzystwa ogromnie się wzmogły, że wobec powszechnej drożyzny inne czasopisma łowieckie były też zmuszone podnieść cenę prenumeraty; „Łowiec polski" kosztuje 6 Rs., austryackie Towarzystwa łowieckie mają wkładkę jeszcze większą, niż ta, przez wnioskodawcę proponowana.

Po krótkiej dyskusyi wniosek ten uchwalono 40 głosami przeciw dwom.

Z kolei nastąpiły wybory.

Na wniosek hr. Szembeka wybrano ponownie następujących członków Wydziału: pp. Jana Czeżowskiego, Tadeusza Klusika-Orzechowskiego i dr. Tadeusza Goreckiego, oraz zastępców: pp. Włodzimierza Barańskiego i Henryka Preka Nadto wybrany został członkiem Wydziału Dr. Alfred Sander, a to w miejsce p. M. Hamerskiego.

Przy ostatnim punkcie porządku obrad, „wnioski członków", poruszył p. Albert Mniszek sprawę klubu hodowli i tresury psów myśliwskich. Pożyteczna ta i tak dla myśliwych nieodzowna instytucya nie może się rozwijać bez poparcia członków, to też mowca o nie prosi, gdyż w przeciwnym razie będzie się musiał klub ten rozwiązać, co byłoby dla łowiectwa niepomierną szkodą. Wydział klubu zwoła wkrótce Walne Zgromadzenie i prosi o jak najliczniejszy w niem współudział.

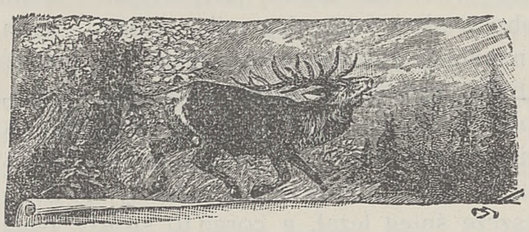
Wiceprezes Towarzystwa pan Seweryn Krogulski, w zastępstwie prezydjum krajowego komitetu wystawowego, zdaje sprawę z urządzenia galicyjskiego działu na wystawie łowieckiej w Wiedniu. Naszego oddziału nie urządziliśmy, powiedział, reprezentacyjnie, jako salon, co uczyniły inne kraje koronne monarchii, lecz zrobiliśmy z niego wspaniałą galeryę rzadkich i wielkiej wartości łowieckiej trofeów, których zazdroszczą nam obcy myśliwi ogólnie, a które chlubnie świadczą o wielkim rozwoju naszego łowiectwa w okresie ostatnich lat trzydziestu.

Pan Cwierzewicz stawia wniosek, by gal. Towarzystwo łowieckie uczciło obchód grunwaldzki i łączące się z postacią wielkiego króla -- myśliwego wspomnienia. P. wiceprezes Krogulski zapewnił wnioskodawcę, że Wydział nie zapomni wziąć udziału w oddaniu czci pamięci Jagiełły i złoży wieniec u stóp Jego pomnika.

Pan Gürtler porusza sprawę ilustracji w „Łowcu“ i podawania w nim spisu członków. P. Schechtel porusza sprawę słownictwa łowieckiego i proponuje ustanowienie Komisyi, którąby się zajęła prócz słownictwa, także uporządkowaniem starej i nowoczesnej literatury łowieckiej. Wniosek przyjęto z tem, że wnioskodawca zaproponuje Wydziałowi wybór tej komisyi.

Na tem porządek dzienny wyczerpano, a Eks. prezes zamknął o 12·30 obrady.

Na wniosek p. Kazimierza Wysockiego obecni przez aplauz i powstanie z miejsc podziękowali Eksc. Prezesowi za prowadzenie obrad.



Na strzelnicy.

Tegoroczne premiowe strzelanie naszego Towarzystwa miłą pamiątką chwili zapisze się w pamięci uczestników Zjazdu łowieckiego.

Choć palmę „zwycięzcy dnia“ zdobył sam ofiarodawca i inicjator tego nowego i niezwykle zajmującego punktu w programie, p. Marjan Jaroszyński, to jednak bohaterem dnia był, nie on, lecz ktoś inny, ktoś, w którego drobne, świeże i od trudów w dźwiganiu sztandaru Św. Huberta jeszcze niespracowane ręce, sędziowie aż trzy piękne złożyli nagrody.

Strzelanie tegoroczne odbyło się pod znakiem uroczej Artemidy, która młodą adeptkę swego kultu uposażyła sprawnością, dobrem okiem i spokojną ręką, przymiotami najlepszego strzelca.

Bohaterką dnia była pani Tomisławowa Jędrzejowiczowa! Zdobyła ona 3 drugie nagrody, a rozstrzeliwała się nadto o 2 pierwsze!

To też entuzjazm, jaki ogarnął wszystkich zebranych na strzelnicy, był wielki; wszyscy wśród dzwięku myśliwskich fanfar serdecznie winszowali jej zasłużonego sukcesu, a my z tego miejsca dodamy życzenie, by te tegoroczne nagrody nie były ostatnie, lecz tworzyły dopiero początek przyszłych na tem polu powodzeń i strzeleckich tryumfów.

Wśród zupełnej pogody, tej wiernej nam dotąd sojuszniczki, odbyła się nasza zabawa. Gdzieś daleko przeciągały burze, dochodziły nas echa gromów, ale strzały nasze zwycięzkie je zgłuszyły, a chmury nas omijały z daleka.

Do strzelania z pistoletów na odległość 25 kroków do tarczy stałej stanęło siedmiu strzelców. Nagrodę pierwszą, srebrną kasetę, dar J. E. komenderującego gener. Franc. Schoedlera, zdobył porucznik p. Lenz, drugą, wyżła z bronzu, dar Juliusza hr. Bielskiego, zdobył p. Stanisław Bromilski.

Do strzelania kulami do tarcz stałych na odległość 80 kroków stanęło 21 strzelców. Nagrodę pierwszą, makatę buczacką, dar p. marszałka kraj., J. E. hr. Badeniego, zdobył p. Kazimierz Marmarosz, drugą „Walczące odyńce“ z bronzu, dar Tow. lisowickiego, zdobyła dzielna amazonka, p. Emilja Jędrzejowiczowa, trzecią nagrodę, słonkę z bronzu, dar p. Jędrzejowiczowej, zdobył p. Ludwik Szanecki, czwartą, wieszadło metalowe, dar firmy Dzikowski i S-ka, zdobył p. R. Lisowski.

Do strzelania kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków stanęło 19 zapaśników. Nagrodę pierwszą, kasetę na cygara, dar J. E. Witolda Korytowskiego, zdobył p. Ludwik Szanecki, drugą, torbę myśliwską do podróży, dar galic. Tow. łowieckiego, zdobył p. Maks Aigner, trzecią, pastel myśliwski, dar p. A. Zolla, zdobył p. Stanisław Bromilski.

Do strzelania do tarcz stałych na odległość 300 kroków przez lunety, stanęło 18 strzelców. Nagrodę pierwszą, wóz podjazdowy z bronzu, dar p. Kazimierza Marmorosza, zdobył p. Albert Mniszek, drugą jelenia z bronzu na skale, dar p. Władysława Długosza, zdobyła p. E. Jędrzejowiczowa, trzecią nagrodę, kryształową popielnicę z głuszczem z bronzu, dar Jerzego ks. Lubomirskiego, zdobył p. Kazimierz Pepłowski, czwartą, kałamarz z bronzu, dar lwowskiego korpusu oficerskiego, zdobył porucznik Władysław Krogulski.

Do strzelania do tarczy ruchomej, przedstawiającej dzika, na odległość 100 kroków, stanęło 22 strzelców. Pierwszą nagrodę, binokle Görza, dar p. Włodzimierza Barańskiego, zdobył p. Zdzisław Marmarosz, drugą, srebrną papierośnicę, dar p. Henryka Preka, zdobyła p. E. Jędrzejowiczowa, co powitano oklaskami i z entuzjazmem, trzecią nagrodę, sztuciec Tella, dar komitetu, urządzającego strzelanie, zdobył p. Ryszard Sartori.

Do strzelania na 100 kroków do ruchomego lisa, stanęło 12 strzelców. Nagrodę pierwszą, „kłusaka w wyścigu“ z bronzu, dar p. Eustachego Rylskiego (nagroda Uhrynowska), zdobył p. Jaroszyński, drugą, binokle Zeissa, dar Tow. myśliwskiego w Słobódce, zdobył p. Ryszard Sartori, trzecią, „Termofory“, dar Tow. myśliwskiego w Bełzie, zdobył p. Zdzisław Marmarosz.

Z kolei nastąpiło strzelanie o prześliczną nagrodę p. Marjana Jaroszyńskiego, przeznaczoną dla zwycięzcy dnia. W strzelaniu tem mogli tylko brać udział już I. nagrodą w poprzednich strzelaniach ze sztućców, odznaczeni uczestnicy. Do strzelania tego stanęli tylko zdobywcy pierwszych nagród. Strzelano do ruchomego dzika na odległość 100 kroków.

Zwycięzcą dnia był sam ofiarodawca p. M. Jaroszyński, premję jednak (postać kobiety, wykonaną w białym marmurze kararyjskim), wziął p. Kazimierz Marmarosz, po trzykrotnem rozstrzeliwaniu się z własnym synem, Zdzisławem.

Zapasy zakończyło strzelanie do krążków glinianych, rzucanych w powietrze, a naśladujących lot gołębia. Strze-

lało 19-tu. Pierwszą nagrodę, automatyczną strzelbę śrutową, dar J. E. Stanisława hr. Stadnickiego, prezesa gal. Tow. Łowieckiego, zdobył p. Jan hr. Drohojowski, drugą, odyńca z bronzu, dar Stanisława hr. Mycielskiego, zdobył p. Ludwik Szanecki, trzecią, dropia z bronzu, dar jednego z członków Tow. łowieckiego, zdobył p. Stanisław Pieńczykowski.

Rycerską zabawę tę zakończono odczytaniem przez wicepr. p. Sew. Krogulskiego wyroku sędziów i doręczeniem zwycięzcom, przy dźwięku fanfar, zdobytych wawrzynów.

Z toku głuszców.

Po długiej i ciężkiej podróży, bo trwającej ośmnaście godzin koleją żelazną, wysiadłem na końcowej stacyi R., aby kanapkę przedziału w wagonie zmienić na o wiele niewygodniejsze siedzenie, sporządzone z wiązki słomy kukurudzianej. Para drobnych i rączych, a ustawicznie wierzgających i gryzących się koników, w półkłusie, półgałopie darła za sobą wózek góralski Coś w rodzaju paki, zbitej z desek, a umieszczonej na kołach, przeskakiwało z głazu na głaz, wielkości mniej więcej bochenka chleba do wielkości kuferka.

Takiej drogi 26 klm. było w górę rzeki, udekorowanej po obu stronach nieprzejrzanymi stosami pni budulcowych, które woda, zamknięta w czterech śluzach, powyrzucała na brzegi.

Droga wiła się jużto samem korytem, jużto wspinała się w śmiałych skrętach na urwiska, wijąc się przez dziesiątki na pół zbutwiałych mostków, zawieszonych nad szumiącymi wiosenną wodą potokami. Miejscami wznosiła się tak wysoko, że w dolinie rzeki nagromadzony budulec robił wrażenie porozrzucanych bezładnie zapałek.

Po obu stronach brzegi były wysokie.

Garby gór pocięte ostro i gęsto w bystre strome stożki, łyse szczytami połonin, — niżej rudosiwe wieńce zgrzybiałych buków. W przerwach, któremi spadały szumiące potoki, tu i ówdzie na zabagnionych tarach żółtawa jeszcze i nieśmiała zieloność iw.

Gdzieś daleko w górze rzeki zamajaczyły z mgły, coraz wyraźniej, pogięte garby tytanicznych grzbietów, prześwietlając głębokim granatem smereczyny przez mleczny opar mgły. W miarę odbytej drogi wyłaniały się coraz to bliższe szczyty, otaczające olbrzymi kocioł, w którego wnętrzu rodziły się wody jednego z większych dopływów dorzecza morza Czarnego.

Powoli zaczęła się dość zresztą ciasna dolina rozszerzać i z pod przygarbic leśnych, wypełzały długimi językami zielenie sianożęci. Pocięte są w kwadraty i prostokąty długimi szeregami nudnych przetarów, spiętych u góry zagrodą huculską. Każdy z czytelników zna te wioski huculskie bez początku i końca, gdzie tylko tu i ówdzie do zbocza jaru, niby jaskółcze gniazdo, przypięte „gazdnistwo“ wieś, a raczej osadę zaznacza. I tylko gdzieniegdzie pokaźniejsze przy drodze domostwa, zdradzały obecność „semickich kulturträgerów“.

Aż do tej chwili jechałem jeżeli nie całkiem wygodnie, to przynajmniej sucho; ale tuż prawie u samego celu sprał mnie do nitki deszcz i w brutalny sposób zbudził z zachwytów artystycznych. Ale też i byłem u celu.

Gospodarz przyjął mnie z prawdziwą myśliwską i góralską szczerością i zaraz z progu przypił do mnie z przednich rozmiarów roztruchaniku rumuńskiej śliwowicy. Zaraz też błogie ciepło przejęło moje członki i po wypakowaniu przyborów myśliwskich i przebraniu zmokłych szat, rozgościłem się swobodnie. Dawaj jeść, wołam i w kilku minutach głęboki talerz jajecznicy mile drażnił węch, a użytecznie napełniał żołądek. Przy talerzu i kieliszku, przeważnie treści myśliwskiej pogawędka, z miejsca zasmuciła mnie cośkolwiek, bo mimo, iż czas toku głuszców był w kulminacyjnym punkcie, żaden z pobereżników pana S. nie znalazł jeszcze tokowiska głuszców, chociaż w górze gęsto jeszcze śnieg leżał, a coraz to świeży padał. Pan S. posyłał w najdalsze zakątki rewiru, ale wszędzie panowała cisza. Wprawdzie pobereżnicy spłoszyli tu i ówdzie to kurę, to koguta, ale o toku ani mowy. Taki rezultat wywiadów łowieckich był we wtorek wieczór 19 kwietnia.

W Królestwie św. Huberta.

(Humoreska).

Wystarczy powiedzieć, że p. Zygmunt był kawalerem i że nadewszystko kochał myśliwstwo, aby dowieść, że był porządnym człowiekiem. Widzę nawet, że wszyscy czytelnicy zaraz poznali, że p. Zygmunt musiał być porządnym człowiekiem. A nie żenił się dlatego, bo mu było dobrze w kawalerskim stanie. W dzisiejszych czasach pan Zygmunt jeszcze silniej utwierdzał się w przekonaniu, że nie powinien się żenić. Wiedział, że znaleść teraz dobrą żonę, to całkiem, jak „ślepej kurce ziarnko“; ponieważ nie chciał się bawić w ślepą kurkę i nie liczył na „ziarnko“, więc i dla tego powodu i z wrodzonego pedantyzmu szukał jeszcze innych dowodów na poparcie swego sądu i postanowienia, i to ze szczególną zawziętością. Bo „okropnie“ nienawidził kobiet — jeżeli naturalnie chodzilo o coś „poważnego“ (małżeństwo!!!), ale właściwie bawić się z niemi, bardzo, ale to bardzo lubiał. Tylko, że był starym wróblem i jak twierdzili koledzy jego „myłek“, raz poczęstowany pazurkami niewieściemi, obchodził ze zjadliwym chichotem wszystkie pułapki, a o ile były niezręcznie nastawione, to jeszcze drwił z nich w żywe oczy. Taki to był „numer“ z p. Zygmunta. Zrezygnowano już w „towarzystwie“ z p. Zygmunta, jako z „partyi“, z żalem wprawdzie wielkim, bo i przystojny był, wesół, solidny człowiek, na ładnem stanowisku, no i t. d... Miał wprawdzie trochę nieprzyjaciół, bo zbyt często ludziom prawdę w oczy mówił, ale każdy człowiek ma przecie swoją „wadę“. Zresztą pogardę i nienawiść do kobiet starannie ukrywał przed niemi, tylko przy ulubionym wincie, w gronie dobranych towarzyszy, będąc obdarzony niezwykłym dowcipem, z reguły tak zjadliwie się odzywał, że salwy śmiechu rozlegały się długiem echem po kamienicy, aż zniechęcony sąsiad-radca, właściciel 3 córek, mruczał do żony pod nosem: „U tego ba... ba... ...rdzo porządnego człowieka znowu jakaś „lepsza zabawa“. Pan radca bardzo podejrzliwie odnosił się do tych „zebrań“ u p. Zygmunta. Natomiast wszystkie uczucia swego samotnego i spragnionego miłości serca oddawał p. Zygmunt niepodzielnie myśliwstwu, któremu do końca wiernym przysięgał sobie pozostać i dotychczas w tym względzie nic sobie zarzucić nie mógł. Kochał polowanie z całą jego at-

Po doskonale przespanej nocy pan S., chcąc skrócić moje i swoje oczekiwania (pobereżników jeszcze we wtorek na noc na wywiady posłał), pokazywał mi swoje kawalerskie gospodarstwo i łowieckie osobliwości. Między innemi zasługiwała na uwagę para zrzutów jelenich, lewy róg o 11-tu, prawy o 12tu końcach, a w rozłożystej koronie prawego rogu mógł śmiało usiąść średniej budowy mężczyżna. Drugą wspomnienia godną osobliwością była żywa norka, złapana jeszcze przed kilku dniami przez pobereżnika.

Oglądając gospodarstwo i osobliwości myśliwskie, przepędziliśmy czas do południa. Powoli zaczynali ściągać pobereżnicy, ale na razie z niepomyślnemi wiadomościami. W końcu brakowało jeszcze tylko dwu, a tych pan S. posłał właśnie w najodleglejsze części rewiru. Zasiedliśmy trochę kwaśni do obiadu, tem bardziej, że już w dolinie silny wiatr pociągał, a cóż dopiero na szczytach; ku końcowi obiadu zjawili się obydwaj oczekiwani z rezultatem, iż jeden kogut tokował na ziemi o $7\frac{1}{2}$ godzinie rano.

Wprawdzie bez wielkiej wiary w powodzenie polowania, ale z ciekawością zajrzenia w serce lesistych gór pogranicza bukowińsko-rumuńskiego, wybraliśmy się po obiedzie pieszo w drogę.

Aż do koleby, w której zanocowaliśmy, odbywaliśmy drogę razem; a więc ja i pan S., dwu pobereżników i hucuł, który nam niósł prowiant i koce na noc.

Z doliny Seretu wspinaliśmy się ciągle w górę rzeki ostrym grzbietem wązkiej, ku południowi spadającej połoniny. Corazto nowe garby, corazto nowe szczyty, wynurzały się z piany mgieł, zalewającej doliny.

Po dwugodzinnym marszu wzdłuż połoniny, zapadliśmy w las ścieżką, olbrzymimi głazami pociętą w schody, wijące się szarym szlakiem w połowie spadzistej, smerekowej zboczy.

Po krótkim odpoczynku przy źródle, rozdzieliliśmy się na dwie partye.

Ja dostałem starego wygę pobereżnika, który jak sam powiadał, nieraz już Panów wiózł na „gotycze“. Zboczyliśmy ze ścieżki pod szczyt, po niezwykle stromem, ruchomem osypisku, porosłem mchem i gogodzami. Wiatr szumiał w gałęziach strzelistych smereków.

Zaczęliśmy więc właściwie polowanie na podchodnego, bo o tokowisku ani mowy nie było.

Po godzinnem wspinaniu się, doszliśmy do małej łączki (rizyny), konstatując wszędzie obecność gluszców po licznym i częstym pomiocie.

Z „tesznerką“, gotową do strzału, obszedłem dookoła łączkę kocim krokiem; łączka była pusta.

W chwili jednak, kiedy postawiłem krok na głazie, aby w dalszym ciągu szukać spotkania, zadzwonił mi charakterystyczny łopot w uszach, i odwróciwszy się, dojrzałem koguta w odległości ośmdziesięciu do stu kroków, znikającego jak czarna błyskawica między drzewami.

O ile się później przekonałem, siedział on zajęty żerowaniem w szczelinie między dwoma wielkimi głazami pod osłoną trzech karłowatych smereczków i albo mnie cicho zbliżającego się nie spostrzegł, tembardziej, że był silny wiatr, na której to okoliczności oparliśmy sposób dzisiejszego polowania albo też ujrzał mnie zbyt blizko i przywarował, a potem w bezpiecznej odległości zerwał się. W dalszym ciągu naszego dość zresztą oryginalnego pochodu, spłoszyliśmy jeszcze jedną kurę i na wieczór wróciliśmy do koleby. Zastałem już tam pana S. przy ogniu wesoło trzaskających polan, przyrządzającego kolacyę, składającą się z pokrajanego w krążki mięsa, nawleczonego na drewniany rożen, którym hucuł zawzięcie obracał nad żarem z czystych, bukowych węgli.

Pokrzepiwszy się jadłem i napitkiem, usnęliśmy przy płonącym ogniu z nadzieją w sercach na jutro.

Na dworze wicher wył wśród tumanów śniegu; w kolebie, obetkanej mchem, było cicho i jasno.

Zbudziliśmy się o godzinie pół do czwartej, ale wczorajsze powietrze zmieniło się już o tyle, że wiatr cośkolwiek przycichł, ale śnieg padał gęsty i ciężki całun mgły wszystko przygniatał.

Po krótkim posiłku, składającym się ze szklanki grogu i kawałka wędzonej słoniny z chlebem, uradziliśmy, aby każdy udał się w tym mniej więcej kierunku, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa wczoraj wieczorem głu-

---

mosferą, tak odmienną w rozmaitych porach roku, i jego rodzajami i wogóle wszystkie rzeczy, „które jego są“; lubował się więc w broni, w psach, kochał gorąco przyrodę swego kraju, nad którą nie znał piękniejszej. Jeżeli się z kim poznał, a dowiedział się, że to myśliwy, to mimo woli stawał się zaraz dla niego zupełnie innym. U siebie miał mały arsenał, coś 8 strzelb, parę pistoletów, rewolwerów, ulubionego psa, krótkowłosego niemca „Rolanda“ i mniej lubianego jamnika, ostrego bardzo „Bismarcka“, który kąsał i rzucał się na wszystkich, a czasem warczał i na własnego pana. Pan Zygmunt trzymał go jednak dla tej właśnie ostrości i dlatego też, że śliczna to była sztuka. W zimie, czy to p. Zygmunt „urzędowe“ miał polowanie w „towarzystwie“, czy proszone, to go już z pewnością nikt nie potrafił namówić na jakąś inną zabawę, czy coś t. p. Tylko choroba mogła przeszkodzić polowaniu pana Zygmunta. Ale jego zdrowy i silny organizm rzadko jej podlegał. P. Zygmunt był członkiem towarzystwa myśliwskiego, a oprócz tego miał swój własny, dość duży rewir, który niedawno wydzierżawił i energicznie się zabrał do roboty, by przerobić go po swojemu. Zaczął od wszelkich szkodników, nawet z dość znacznym nakładem pieniężnym, ale już po dwóch latach widział owoce swych starań i zabrał się wobec tego do jeszcze lepszego zagospodarowania rewiru. Sprowadził zajęczyc trochę, jaja bażancie, kuropatwy, których tam prawie nie było i z góry się radował na przyszłe sukcesy. Było to ideałem pana Zygmunta jeszcze z młodocianych lat, aby sobie dobry rewir znaleść i na nim pokazać, co wtedy można zrobić przy dobrych chęciach. Krzątał się też przy tem, jak inny przy założeniu „ogniska domowego“, a pobudzało go jeszcze niebywałe lenistwo i gnuśność towarzyszy z pod znaku św. Huberta.

Dziś właśnie, wróciwszy wieczorem do domu, zastał p. Zygmunt na stole świeżego „Łowca“. Zaraz mu się więc twarz rozjaśniła; przy kolacyi przeglądnął tylko tytuły artykułów i zabrał się do zwykłej lektury dzienników, odkładając „Łowca“ na deser do łóżka. W dziennikach wyczytał o demonstracyi „sufrażystek“ w teatrze, uśmiał się serdecznie i już sobie układał, jak to będzie wydrwiwał; brakuje chyba jeszcze, aby szewcy, żołnierze, żydzi i t. p. zrobili demonstracyę, obrażeni z powodu wyśmiewania ich w jakiejś operetce, czy farsie.

P. Zygmunt nie żałował w dowcipie innych, ale prze-

szce zapadły I znów cały łańcuch kroków cichych, uważnych, tysiące spojrzeń w tajnie smerekowego podszycia, obserwowanie z ukrycia każdego czuba, każdej gałęzi wysokich jak wieże smereków.

W miejscu, gdzie kogut wczoraj zapadł, spłoszyliśmy dwie kury i po dwugodzinnem, nużącem spinaniu się, to znów schodzeniu z pieca na łeb, przemokli do nitki wróciliśmy do domu.

W domu spotkałem ze zdziwieniem P. S. który z tajemniczą miną już od progu zaczyna gratulować nam wśród słów ,,No! pokażcie czy przynajmniej stary zagląda do „Rucksaku! A przecież słyszałem dwa strzały, cóżto, czyżby pudła? Po kilkakrotnym z mojej strony proteście, przekonawszy się nibyto, że nie strzelałem, pytał się dalej, czyśmy może jakich strzałów nie słyszeli.

Na naszą odmowną odpowiedź, zaczął się śmiać i mówi: „Ha, jak tak, to pewno nikt inny jak ja, tylko wyście strzałów nie słyszeli“.

Powoli zaczęło mi coś w głowie świtać, ale już i gospodarz nie dał czekać i tak całe zdarzenie opowiada:

Gdyśmy się rozłączyli, ja przeszedłem przez szczyt, i puściłem się na północną stronę uboczy, sądząc, iż wiatr południowo-zachodni, który ciął śniegiem całą noc spędził wszystką zwierzynę na stronę północną.

Znam tu wszystkie zeszłoroczne toki i dlatego po nich zacząłem szukać. Zaraz w okolicy pierwszego tokowiska spłoszyłem koguta, do którego strzelić nie mogłem:

Przeleciał przez parów (mogłem z góry całą drogę jego lotu obserwować) i zapadł w uboczy.

Obszedłem więc od dołu w dalekim łuku parów i zbliżyłem się w ten sposób do drugiego tokowiska, postanawiając czekać cierpliwie.

Umieściłem się więc wygodnie pod osłoną nizko spadających wiech smerekowych i czekam.

Przypuszczam, że mogło pół godziny minąć. gdy nagle obudziły mnie z zamyślenia jakieś niewyraźne i dalekie dźwięki; ale to ustało i nie byłem także pewny, czy to przypadkiem nie zagarek w kieszeni.

Wiem jednak z doświadczenia, że głuszec potrafi bez ruchu dwie nawet trzy godziny na gałęzi siedzieć i obserwować, a potem zleci na ziemię w celu żerowania i to prawie zawsze w najbliższej odległości. Postanowiłem więc czekać.

Po jakimś upływie czasu przeszły skrajem łączki dwie kury, które całkiem wyraźnem gdakaniem pobudzały koguta do śmielszych awansów miłosnych.

I w samej rzeczy, zaledwie kury odeszły, usłyszałem z początku rzadki stopniowo w coraz częstsze i śmielsze tlek.. tlek... tlek., potem coraz namiętniejsze, przechodzące ku końcowi w tak charakterystyczne dla tokowiska, a tak miłe uchu myśliwego: zik—zik—zik.

To wszystko gdzieś na jednym ze smereków po prawej stronie w górze.

Powoli więc obracam w tym kierunku głowę i ze zdziwieniem oglądam odwróconego do mnie tyłem słabego koguta, siedzącego bez ruchu na suchym łomie o jakie trzydzieści kroków.

Ten absolutnie nia tokował, bo głos, który słyszałem był o wiele za słaby, aby go mógł wydawać kogut, siedzący tak blizko.

I przekonałem się że są właściwie dwa koguty, jeden tokuje na drzewie, a drugi tylko nadsłuchuje. Nie chcąc doświadczać szczęścia, palnąłem dwójką do koguta na łomie. Kogut spadł i zaczął się tłuc po młodej smereczynie i już wstawałem, aby go podnieść, gdy wtem słyszę łopot skrzydeł od góry i w jednej chwili widzę, jak pod drugim kogutem chwieje się gałąź nizkiego smereka tuż nad moją głową.

Nie namyślając się długo, palę z drugiej lufy i drugi kogut przepłacił życiem gorączkę bojową. Strzałów zaś pan słyszeć nie mógł, raz, że była mgła i gęsty śnieg padał, a zresztą przedzielał nas grzebień góry, zwyż 1500 m. wysokiej.

Zazdrosnym myśliwym nigdy nie byłem, ale przyznam się, że czułem jakby jakieś pokrzywdzenie niewiadomo w czem i od kogo.

Po spożyciu prostego i smacznego obiadu, korzystając z chwilowej przerwy w śnieżycy, która zresztą do sa-

---

dewszystkiem docinał sobie samemu i nigdy się nie obrażał, gdy ktoś inny ciętym dowcipem i jego samego śmignął, owszem, sam to opowiadał innym, nie mniej szczerze, niż kiedyindziej się śmiejąc.

Teraz jednak postanowił użyć sobie co się zowie z okazyi tych „sufrażystek“ i ich przeczulonej wrażliwości, która je zaślepiła do tego stopnia, że kazała posunąć się nawet poważnym matronom do hałaśliwej, a śmiesznej demonstracyi.

Pobawiwszy się jeszcze jak zwykle przed snem z Rolandem, ułożył się wygodnie i zabrał się z namaszczeniem do pożarcia i przetrawienia „Łowca“. P. Zygmunt czytał go zawsze „od deski do deski“. Sam często pisywał artykuły, a szczególnie regularnie, jako delegat Najbardziej go irytowała bezczynność delegatów, na którą „Łowiec“ ciągle skarżyć się musiał. To też załatwiwszy się gruntownie z „Łowcem“, zgasił lampę i nie wiedzieć po raz który zaczął obmyślać i rozbierać w myśli rozmaite sposoby rozruszania naszych myśliwych, a specyalnie delegatów.

Nie mógł darować p. Zygmunt swoim współtowarzyszom z pod znaku św. Huberta, że nie chcą się przekonać o tem, jakto przy dobrej woli mogliby bez trudu prześcignąć na tem polu „naszych najserdeczniejszych“, którzy w warunkach bezsprzecznie lichszych, są do dziś przecież wzorem dła wszystkich. Cóż pomagały dobre chęci i inicyatywa jednostek, kiedy ogół myśliwych, a specyalnie już delegaci „od spania“ — jak ich p. Zygmunt nazywał — są ociężali i zimni dla sprawy jak głaz i tego, co gdzieindziej już dawno wszyscy za pewnik przyjęli i w praktyce zastosowali, wykonać nie mają siły, choć głośno temu słuszność przyznają. Ogół nic chciał nie godnego zachodu widzieć w napozór drobnych, a ważnych sprawach, często poruszanych w „Łowcu“ i wszystko kończyło się przeważnie na projektach. Wprawdzie „Łowiec“ w ostatnich latach niepomiernie się podniósł, myślał p. Zygmunt, to prawda, ale nie stał się jeszcze tętnem myśliwstwa rodzimego i tylko to odbijało się w nim echem, co mozolnie — znowu tylko jednostki — chętniejsze, wydusiły jakby prasą hydrauliczną z ospałych towarzyszy z pod znaku św. Huberta. A jednak przecież nikt nie poradzi, jak ktoś „nie chce chcieć“. Coraz nowe myśli i różnorodne projekty plątały się po głowie coraz senniejszego p. Zygmunta, który wreszcie zasnął na dobre, a rozbudzona wyobraźnia przeniosła go w nieznane miejsca...

mego końca pobytu w R. polowanie psuła, wybrałem się z panem S, aby się przypatrzeć spławianiu budulca.

Z czterech śluz wypuszczona woda, zmieniła mały górski potok w potworny strumień, niosący wśrod ogłuszającego ryku i głębokiego dudnienia, tysiące sztuk budulcu na swych spienionych falach, igrając potężnymi balam jak zapałką.

Zdawało się, że w martwe te kłody, odarte z kory, jakieś życie, jakaś namiętność wyścigu wstąpiła.

Ruchem galopującego konia ślizga się po spienionej fali długi, lekki belek, dogania staregó olbrzyma, któremu ciężar i objętość nie pozwala już z tą zalotną chyżością mknąć po fali. Wspina się jak koń do skoku i opada z głuchym łoskotem na jego grzbiet.

Tam znowu grupa przytulonych do siebie bokami belków huśta się równomiernie po fali, jakby ważąc w sobie rozmach do ataku na skłębioną zaporę. Już, już i ja kiś głuchy stuk, i wśród skrzypienia trących się kłód, wśród hałasu wody i bryzgów piany, stają dęba na mgnienie co młodsze belki, aby powoli i jakby z namysłem opaść w toń i ruszyć wspólnie z biegiem strumienia.

A na tem tle giętkie, wysokie postacie górali w czerwonych hołośniach uwijają się wśród zapór z capinami w ręku, bystro i gibko skaczą z kłody na kłodę wśród ryku fal i chaosu drzewa.

Nasyciwszy się do syta tym widokiem, wróciliśmy do domu, ażeby wypocząć po trudach kilkagodzinnego wspinania się po kamienistych usuwiskach, wśród wiatrołomów gdzie na każdym kroku po jednym gwoździu z buta się gubiło.

Dr. A. Ruczka.



CAMILLO MORGAN

Wspomnienia myśliwego z Hiszpanji.

(Ciąg dalszy).

Trzymając się ciągle prawego brzegu koryta rzeki, wyszliśmy po pewnym czasie z zachwycającego lasu kasztanowego na ogromną, lekko sfalowaną równinę, gdzie pod okiem malowniczo ubranych pasterzy pasło się 10—12.000 czarnych i białych owiec; na skrzydłach tej beczącej armii uwijały się duże. piękne psy.

— ,,To, co panowie tu widzicie“, powiedział Don Esteban, wskazując na nieprzejrzane trzody, to duma i podstawa całego bogactwa Leończyków! Zapomniałem mianowicie już przedtem zwrócić panom uwagę na to, że opuściliśmy wreszcie starokastylskie ziemie i teraz znajdujemy się już na gruncie prowincji Salamanka Królestwa Leonu, najstarszej części monarchii hiszpańskiej. I ta też hodowla owiec jest od wieków najważniejszą gałęzią zarobkową Leończyków, tej najczystszej ludności tubylczej, wolnej od wszelkiej przymieszki krwi arabskiej. Z dumą też nazywają się oni sami *cristianos viejos* (starymi chrześcijanami); szczególnie uprawiano tu od wieków hodowlę merynosów. Osobne prawo, zwane ,,Mesta“, pozwalało hodowcom merynosów paść ich trzody na każdej posiadłości, które też przebiegały te niezliczone stada. Aby to umożliwić, zostawiano wszędzie w kraju całym, pas roli nieuprawianej, i tą ,,ścieżką“, szeroką na 80 m., szły wolnym krokiem te armie, z jagnięcą cierpliwością drepcąc za ogonami swych poprzedników czy poprzedniczek. Nad tem prawem czuwało baczne oko czcigodnej rady Mesty; gdy jednak ogólno-europejski prąd konstytucyjny ogarnął i Hiszpanię, zniesiono razem z feudalizmem i ,,Mestę“. Wpłynęło to fatalnie na chów merynosów, z roku na rok począł on upadać. Trzeba je było hodować na własnych albo wydzierżawionych pastwiskach.

Wielu hodowców wysprzedało się wszakże ze swych trzód, i dzisiejsza hodowla — to słaby tylko odblask dawnych, świetnych pod tym względem czasów. Wśród tych 10 czy 12.000 owiec, które tu widzimy, nie znalazłoby się

Z rozkoszą wciągał czyste powietrze pogodnego, zimowego dnia. Linją, równiutką i szeroką, szedł wygodnie, gdyż śnieg był odgarnięty pługiem na obie strony. Pan Zygmunt sunął bez szelestu w filcach, z trzylufkiem na ramieniu, bacznie śledząc rozmaite i liczne tropy po obu stronach linji. Zboczył drożyną do gęstego, młodego lasu. Droga prowadziła go tu i ówdzie przez niewielkie polany. Śnieg był tam również odgarnięty i karma dla zwierzyny obficie zastawiona. Słowem, gdzie p. Zygmunt rzucił okiem, wszędzie spotykał się z wzorowym porządkiem. Za jego nadejściem schodziły powoli z polanek całe rudle sarn, danieli, to znów nieco dalej rudel jeleni. P. Zygmunt skradał się ku nim z uwagą, chcąc je zejść jak najbliżej, aby się temu królewskiemu zwierzowi lepiej przypatrzyć. Już przez gałęzie dość wyraźnie je widział i nie więcej, niż 150 kroków, dzieliło go od wspaniałego byka, a p. Zygmunt, z zapartym oddechem i przykutym do zwierza wzrokiem, jak kot skradał się coraz bliżej, gdy w tem ciężka ręka spoczęła na jego ramieniu. Zaskoczony tem, odwrócił się szybko i spostrzegł przed sobą sążnistą postać tęgiego, czerstwego staruszka, uśmiechającego się łaskawie i przyjaźnie. P. Zygmunt rozmarszczył czoło i uchyliwszy swej ulubionej radziwiłłówki, chciał wymienić swe nazwisko. Ale uprzedził go staruszek. „Hola! Wiem kto jesteś! Zygmunt K., delegat na powiat N. N. z Galicyi. Ho, Ho!“ zapewniał z jowialnym uśmiechem stary, „my tu znamy dobrze wszystkich myśliwych, a już specyalnie delegatów. Wiemy, co kto wart. Tembardziej cieszę się, że mamy z tak dobrej strony nam znanego, którego z zadowoleniem oprowadzę po całem naszem gospodarstwie“. Pana Zygmunta zaskoczyło to wszystko tak nagle i niespodzianie, że nie mógł wyjść z podziwu; skłonił się wprawdzie jeszcze raz, ale pewny ton obcego i jego słowa tak go zbiły z „pantałyku“, że nie mógł ani słowa wykrztusić, a tembardziej zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć. Spostrzegł to stary i objaśnił go szybko. „Jesteś w państwie niebieskiem św. Huberta, a ja jestem Ragnar Magnus Venator, łowczy tych oto rewirów. Otóż widzisz, w tem państwie każdy, kto był na ziemi zacnym myśliwym, ten, dostawszy się tutaj, poluje i godnie używa tej szlachetnej rozrywki po wieki — w niezrównanych rewirach, polując na wszelakiego zwierza, a im kto zacniej na ziemi sobie poczynał i więcej zdziałał, temu św. Hubert przyrządza i szlachetniejszą zwierzynę, i na większe god-

więcej jak 1.000 szlachetnych merynosów. Ogromna reszta — to mało wartościowe rasy Entrefina i Churra.

W czasie tego opowiadania Don Estebana, doszlismy do spoczywającej na brzegu rzeki grupy leoneńskich pasterzy (ovejeros); pozdrowili nas ze czcią, a psy ich obiegały nas w rączych podskokach.

Żałowaliśmy, że kto z nas nie jest malarzem, aby odtworzyć te wspaniałe typy Velasqueza i Murilla.

Przeszło trzy godziny szliśmy wzdłuż pastwiska, poczem roztoczył się znów nad naszemi głowami las kasztanowy, chłodząc nas swoim cieniem.

Tu też zobaczyliśmy po raz pierwszy za naszego pobytu w Hiszpanii wspaniałe odmiany ptaków, jak hiszpańską srokę błękitną (*Cyanopolius cookii*), którą Brehm zwie słusznie jednym z najpiękniejszych europejskich ptaków; żyje ona w Kastylii i w Leonie a nawet dalej jeszcze można ją spotkać. Natomiast brak jej w Galicyi, Asturyi, prowincyach baskijskich, Nawarze, Aragonii i Katalonii.

Błękitna sroka hiszpańska nie ma naturalnie nic wspólnego z naszą sroka. Jest od niej o wiele mniejszą, no i naturalnie o całe niebo piękniej upierzoną. Jasno-błękitne są właściwie tylko u niej sterówki i lotki, reszta zaś piór wpada w szarą niebieskość. Głowa jest czarna, oko kawowo-brunatne. Sroka ta jest bardzo towarzyską; latają one całemi stadami po lasach, albo po krzakach tuż przy ziemi lub wysoko wśród wierzchołków drzew, wydając krótki krzyk „Krrrih“ lub dłuższy „Kliklikliklі“. Każdy z nas zastrzelił jedną, by kazać sobie ją potem wypchać.

Na końcu lasu, w którym ujrzeliśmy sroki błąkitne, znajduje się duży, zamożny dwór, własność starego przyjaciela Don Estebana.

Tu też przenocowaliśmy, a rano ruszyliśmy brzegiem Tormesu dalej i po ośmiu godzinach drogi, przerywanych licznemi postojami, dotarliśmy szczęśliwie do rewiru, goszczącego ową upragnioną przez nas parę rysiów pardelowych.

Był to ogromny, wspaniały las, złożony z czerwonych buków. a częściowo też, z brzóz i kasztanów. Gdzieniegdzie były też zabłąkane tu różne gatunki dębów, jak *Quercus pedunculata*, *Quercus sessiliflora*, *Quercus lusitanica*, i *Quercus Tosa*. Było tu także kilka sztuk t. zw. cedrów z Goyi (*Cupressus glauca*), zaaklimatyzowanych doskonale od dawna w sąsiedniej Portugalji. Olbrzymie paprocie i splątane krzewy tworzyły niemal nieprzebytą gęstwinę i nadawały lasowi niemal charakter pierwotności.

Ściemniało się już, o polowaniu mowy więc tego dnia być nie mogło, tembardziej, że trzeba było wprzód stwierdzić, czy rysie domują jeszcze w tej części lasu. Aby się o tem dowiedzieć, trzeba było udać się do tartaku, na południowym kraju lasu położonego, gdzie mogliśmy zarazem zanocować. Właściciel tartaku, hidalgo — jak i Don Esteban, przyjął nas najuprzejmniej, kazał przygotować dwie miłe izdebki i kierownikowi swemu polecił wypytać robotników o miejsce pobytu rysi. Informacye te uradowały nas bardzo; kilku drwali widziało parę rabusiów jeszcze kilka dni temu w tej samej zawsze części lasu. To też wesoło upłynęła nam wieczerza „cena“, spożyta w towarzystwie rodziny gościnnego Hiszpana. Pięć obfitych dań wśród nich szczególnie baranie frikando z groszkiem (*pepitoria de cordero con guisantes*) i przepiórki z truflami (*codornices trufadas*), pokrzepiły nas dzielnie po trudach uciążliwego marszu. Co do naszej wyprawy na rysie. postanowiliśmy zacząć od zasiadki z instrumentem, przypominającym krzyk królika, a sporządzonym właśnie z kostek króliczych. Miał je ze sobą Don Esteban. Dopiero, gdy to miało zawieść, było proponowane polowanie z nagonką.

Ze świtaniem, gdy rosa opadała jeszcze błyszczącemi kroplami ze ździebeł traw, wyruszyliśmy w drogę, prowadzeni przez drwala z Barco. Czekała nas godzina marszu do siedziby rysiów, t. j. zapewne jakiejś rozwartej szczeliny skalnej, prowadzącej w głąb. Stanowisko wypadło mi na dość znacznie wzniesionym zrębie, z którego roztoczył się przedemną wspaniały widok z chwilą, gdy na dalekim wschodzie wytoczyło się słońce. Od strony północnej błyszczały się białe mury, wieże kościelne i domy starego miasta Alby, zwanego też Alba de Tormes od rzeki, na której prawym brzegu się rozciąga. Z Alby wiedzie na lewy

---

ności w swem rozległem państwie powołuje. Ale oto dochodzimy do sanek, któremi objeżdżając dziś las, spotkałem się z tobą. Zawiozę Cię do naszej siedziby“.

Wsiedli obaj do wygodnych sanek, a para rysaków śmigała jak wiatr linjami. To wszystko, co dotąd spotkało p. Zygmunta, było mu nader miłem, a już specyalnie osoba p. łowczego wydała mu się tak sympatyczną, że mu czas upływał w jego towarzystwie niespostrzeżenie. Umysł jednak p. Zygmunta dopiero powoli odzyskiwał równowagę, bo wszystko to było dla niego takie niezwykłe! Łowczy św. Huberta dalej ciągnął swoje opowiadanie przed wciąż milczącym p Zygmuntem. „My śledzimy każdego myśliwego na ziemi, na każdym kroku. To też niezależnie od tego, że który z nich się do nieba tu do nas dostanie i już jest wolnym od wszelkiego grzechu, każdy myśliwy swoją niedbałość, lenistwo, wszelkie grzechy przeciw etyce myśliwskiej, tu odpokutować musi“. Temat ten widocznie poirytował łowczego, bo końcowe słowa wypowiedział, prawie krzycząc. P. Zygmunt natomiast oswoił się już trochę ze wszystkiem, a temat poruszony przez łowczego, nie dał mu dalej milcząco siedzieć. „A jakże mnie czcigodny łowczy dobrodziej ocenia?“ zagadnął z chytrym uśmiechem p, Zygmunt, „bardzo ciekaw jestem“! Rozmarszczył się zaraz staruszek i już całkiem wesoło odpowiewiedział: „Poznać, żeś tu pierwszy raz. Przedewszystkiem u nas niema żadnych dobrodziejów, uniżonych sług, padamdonóżków i t. p. tytułów między towarzyszami. Wszyscyśmy tu sobie braćmi. Tylko ci, co pokutują, muszą uważać w stosunku do nas na etykietę, ale i oni z chwilą, kiedy zostaną towarzyszami, zostają równouprawnieni“. Tu p. Zygmuntowi na sam dźwięk tego ostatniego słowa mimowoli przeleciał uśmiech złośliwy przez usta. Nie uszło to oku starego: „Już widzę, o jakiem to równouprawnieniu pomyślałeś! Wiem już coś niecoś o twoim ostrym języku, stary kawalerze! Cha! cha! cha!“ Coraz weselej i serdeczniej gawędził stary. „No, ale jak dotychczas, to miej jak najlepszą nadzieję do co swej u nas reputacyi. Jak się tu dostaniesz, to starczy i dla ciebie przedniej zwierzyny, ja w tem!“ Tu łowczy poklepał poufale p. Zygmunta po ramieniu i silnie uścisnął mu rękę,

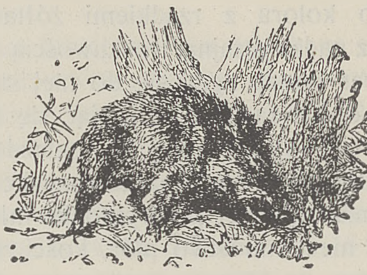
P. Zygmuntowi ciepło się zrobiło w okolicy serca wobec takiego zapewnienia łowczego, zwłaszcza na wspomnienie owego wspaniałego byka, którego niedawno pod-

brzeg Tormesu piękny most o 26 łukach. Nazwa miasta powstała od wznoszącego się w niem wzniosłymi wieżami rodowego zamku książąt Alba; wzniósł go słynny i osławiony wódz tego nazwiska za czasów króla Filipa II. Do r. 1885 małe tylko miasteczko o 2.500 dusz, liczy ich dziś trzy razy tyle. Stało się to przez budowę kolei do Estremadury. Albę otaczają ze wszystkich stron lasy kasztanowe, przerywane pasmami łąk i pastwisk; za lewym brzegiem Tormesu, piętrzy się Sierra de Gata, przechodząca zwolna w płaskowyż, w którego środku rozłożyło się słynne miasto uniwersyteckie, dziś stolica prowincyi, Salamanka.

Gdy promienie słońca ogrzały zwolna zrąb, gdzie się ukryłem dobrze za sągiem drzewa, ożywiło się wszystko wokół mnie. Z wierzchołków drzew zaczęły gruchać gołębie, zewsząd rozlegał się ćwierkot ptaszy. Przez trawę przemykały króliki. Moje wabienie wywoływało ich coraz więcej między pnie ściętych drzew; wesoło tłumiące się towarzystwo to przedstawiało miły dla oka widok. Lecz mijała godzina za godziną, a rysie się nie ukazywały. Zacząłem się już niecierpliwić; także i członki mnie już zbolały od długiego siedzenia bez ruchu. Nagle z prawej strony doszedł mnie z gęstwiny lekki szmer; odwróciwszy się tam, dojrzałem ledwo dostrzegalny ruch źdźbeł rosnącej tam trawy: jakieś zwierzę przesuwało się chyłkiem tamtędy. Ruch trawy posuwał się w kierunku. gdzie na środku zrębu grzało się w słońcu kilka królików.

Za chwilę ujrzałem znów ruch drobniejszej trawy na samym już zrębie, widać już było jakieś „coś“, tamtędy pełzające. Trawa poruszała się na przestrzeni jakich dwóch metrów, jakgdyby pełzał przez nią długi wąż, lub dwa dwa zwierzęta jedno za drugiem. Z zapartym oddechem śledziłem to podniecające moje myśliwskie nerwy widowisko; nagle ujrzałem rzecz niemal nie do uwierzenia: z nizkich traw wynurzyła się naprzód jedna, a za chwilę, obok niej, druga rysia głowa, obie wielkości kociej głowy. Były to więc młode rysie. Nad uszami sterczały im charakterystyczne kępki włosów; „pani“ rysiowa zatem powiła niewątpliwie młode, godne rodzicielskiej pary, drapieżne potomstwo. Że zaś samica rysia koci się w marcu, miały widziane przezemnie rysięta po jakie 4 miesiące.

(*Przeł. Al. Ant. W.*).



WŁADYSŁAW GÜRTLER.

Kokosznik.

(*Astur palumbarius*).

(Dokończenie).

Wrony, które także wiele od niego cierpią, uderzają nań z prawdziwem bohaterstwem; im też zwykle wiele stworzeń zawdzięcza życie, gdyż jastrząb, zajęty opędzaniem się, nie dostrzega czasem łupu; gołąb, czy kuropatwa, ostrzeżone w czas, mogą skryć się przed pościgiem. Gawrony i kawki poprzedzają zwykle jego przybycie: zbite w tłum, uciekają w popłochu przed nim. Bystre oko myśliwego dostrzega go wnet, lecącego szybko i tropiącego. Im więcej głodny, tem chyżej leci, tem szybsze i bardziej nerwowe są jego ruchy. Gdy stare wrony mu towarzyszą, poluje już z trudnością, a i z łupem nie ma się gdzie podzieć w ich asystencyi; wyszukuje wtedy wolne miejsca między krzakami, zwykle kretowiska i tam spożywa zdobycz, a opędzając się atakującym go wronom, daje się wtedy najłatwiej podejść.

Gniazdo zakłada zazwyczaj na wysokich, starych drzewach wśród lasu, i w miarę możności, w pobliżu pnia. Jest ono bardzo wielkie i płytkie, sklecone niezgrabnie z grubszych u dołu, a cieńszych u góry gałęzi. Legowisko wy-

chodził, tembardziej, że jeszcze w życia swem nie strzelał do króla kniei.

„Ale ot i dojeżdżamy“ — rzekł łowczy. Zdala było widać śliczny zamek na dominującym nad okolicą pagórku, i liczne pomniejsze dworki i domki. Wiele miało na froncie myśliwskie trofea, jak wieńce jelenie lub daniele itp. Koło zamku przejechali pędem, przywitani ujadaniem całej zgrai psów z poza siatki drucianej, a łowczy objaśniał; „Oto rezydencya św. Huberta, ale my pojedziemy trochę dalej, bo św. Hubert poluje dziś w jakimś odległym rewirze i pewno aż nocą wróci. Dziś więc nie będę mógł przedstawić ciebie naszemu władcy. Pokażę ci zato naszych pokutników, to cię zainteresuje!“ Na ulicach panował żywy ruch. Ciągle mijali grupki myśliwych, wesoło, a czasem i głośno gwarzących. Wszyscy oni z uszanowaniem witali łowczego, ciekawie przyglądając się jego nieznanemu towarzyszowi. Zajechali przed ogromne jakby koszary i tu wysiedli. Z okien już zaglądały jakieś ciekawe twarze. ale gdy łowczy się obrócił prędko, znikły. „Czekaj, uaprzód pójdziemy do sali delegatów;“ rzekł łowczy; „uśmiejesz się do syta“. Weszli do olbrzymiej ubikacji, gdzie stało wiele rzędów długich stołów, a przy nich siedziały najrozmaitsze postacie. Tu jakiś pan ogromnej tuszy, z czerwonym, a raczej fjoletowym nosem z kulturami jakichś grzybków, łysiną potężną i misternie, a kunsztownie uczesaną „hypoteką“, to znów jakiś chudziak, podobny do czerwonaka, którego Arabowie nazywają latającymi kijami — słowem najrozmaitsze typy. Za wejściem łowczego wszyscy powstali i zaraz napowrót usiedli. Zapanowała cisza i było słychać tylko skrzypienie piór po papierze, „Otóż widzisz, — to wszyscy delegaci“, szeptał łowczy do ucha p. Zygmuntowi, dusząc się przytem od śmiechu, „co na ziemi się zaniedbywali i do „Łowca“ nic albo mało pisali; tu za karę piszą. Każdy musi ten rocznik „Łowca“, w którym niema ani jednej jego korespondencji 100 razy przepisać“. „To pyszne!“ wtrącił p. Zygmunt, zanosząc się od śmiechu. „Tak, to im dobrze robi“, zauważył łowczy, tylko nam niebardzo, bo popatrz, jak tu ciasno, a tu ciągle przychodzą nowi i każdy prawie ma coś na sumieniu. Ale my tu mamy na każdego środek. Tych, co innym z przed nosa zwierzynę strzelali, tu teraz św. Hubert każe stawiać między takimi, co mu kulami stale wszystko ściągają, zanim się złoży. Ci, co nie hodowali i nie karmili zwierzyny, teraz rozwożą karmę, strugają

ściela mchem i puchem z własnego podbrzusza. Do gniazda powraca rok rocznie ta sama para i odnawia je. Parowanie następuje w drugiej połowie marca. W kwietniu znosi samica 3 — 4 dużych jaj; są one podłużne, w środku wypukłe (brzuchate), okryte twardą, chropawą skorupą zielonawego koloru z rzadkiemi żółtawemi plamami i wysiaduje je z nadzwyczajną troskliwością; gniazda nieopuszcza nawet wtedy, gdy się do niej strzela. Młodych swoich bronią oboje zacięcie, rzucając się do oczu, i niebezpiecznie byłoby wybierać się po gniazdo z gołemi rękami. Młode kokoszniki rosną bardzo szybko, jedząc wiele. Gniazdo zamienia się wnet po wyklóciu młodych w jatki: na niem i pod niem mnóstwo piór, kości, sierści i krwi... Biada myśliwemu, na którego terytoryum drapieżna para gniazdo swe uwije!... Żarłoczność młodzieży przechodzi wszelkie wyobrażenie — starsze, wyrośnięte, zjadają często młodsze rodzeństwo.

Z powodu niewysłowionych szkód, jakie wyrządza w lasach, w polu i na obejściach, polują na niego w innych krajach zawzięcie; u nas zażywa jeszcze wiele swobody. Mało kto zadaje sobie trudu, by wyszukiwać jego gniazda i niszczyć w zarodku zbójeckie plemię, mało kto wreszcie odróżnia kokosznika od innych, mniej szkodliwych, a często pożytecznych jastrzębi; — myszołowy i pustułki giną, a kokoszniki żyją i dziesiątkują drobną łowną zwierzynę. Nie ma u nas jeszcze dobrego zrozumienia racyonalnego łowiectwa, nie ma myśliwych — przyrodników ze zmysłem spostrzegawczym. Kto się kiedy kokosznikiem interesuje, kto go dostrzega? A najmniej już pojęcia ma o nim służba leśna. Gdyby była należycie pouczona w tym kierunku, oddawałaby wielkie usługi, komuż bowiem łatwiej spotkać się z nim, jak nie leśniczemu lub gajowemu podczas służby codziennej w kniei?..

Polowanie na kokosznika nie jest łatwe — ponieważ trzeba umieć pokonać przebiegłość i czujność ptaka.

Łatwiej idzie ono przy pomocy puhacza, którego kokosznik z całej duszy nienawidzi i na którego na ślepo uderza.

Chwyta się go także w samotrzaski. Do tego celu służy duża klatka o $1\frac{1}{2}$ m długości, szerokości i wysokości. Oddalenie szczebli drucianych lub mocnych drewnianych wynosić ma $\frac{1}{2}$ dm. Wieko odchyla się w górę na zewnątrz i spada automatycznie siłą odkręcającej się linewki, jak to się dzieje w samotrzaskach na ptaszki. W połowie klatki daje się przegrodę drucianą. Na środku dna pod siatką przywiązuje się krótko za nogę żywego, białego gołębia lub kuropatwę, ale tak, by jastrząb nie mógł wyjąć przynęty z boku przez szczeble. Wieko się odchyla i łączy jego przednią część zapomocą sznurka i języczka z prętem, wiszącym wolno tuż nad siatką drucianą i jego końcem, wystającym w stronę wieka, w którym jest odpowiednie nacięcie.

Tak przygotowaną klatkę stawia się na wysokości 2 m. na gałęzi drzewa lub na słupie na kraju sadu lub lasu, w miejscu, ze wszystkich stron widocznem. Jastrząb, zoczywszy gołębia, okrąża najpierw klatkę, chcąc go dostać szponami przez szczeble; gdy tego uczynić nie może, podrażniony trzepotaniem się przynęty, uderza z góry, zaczepia skrzydłem o pręt, który spada i powoduje zamknięcie wieka. Złowionego zabija się później łatwo.

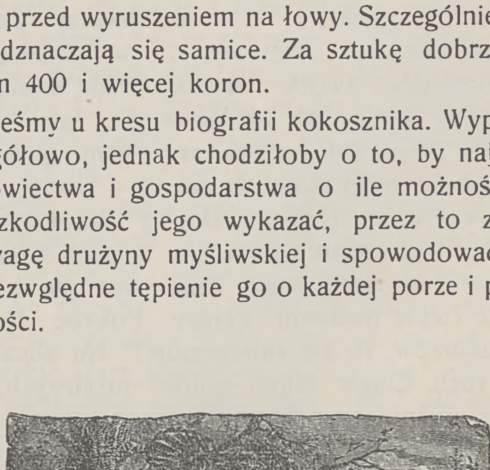
Kokosznika trudno oswoić. Nie przyzwyczaja sią ani do klatki ani do człowieka. Siedzi zawsze odęty, zły, z całym światem w niezgodzie — wodzi tylko żółtemi oczyma i trzyma w pogotowiu straszne swoje szpony. Zawsze jednaki, niepoprawny, podstępny i krwi chciwy.

W czasach dawniejszych musiano i w Polsce oswajać te ptaki i tresować do polowania. Jako inteligentne i łatwe już po oswojeniu do użycia w polu, oddawały sokolnikom znakomite usługi. Dobrze ułożonego kokosznika stawiano na równi z dobrym wyżłem. Dzisiaj polowanie z sokołami wogóle należy już do przeszłości, a szkoda wielka, boć to — bodaj czy nie najszlachetniejsza rozrywka!

W Persji i Indjach sport ten jeszcze kwitnie i umieją tam kokosznika oswajać i tresować.

Według zapisków Thompsona należy on tam do rzędu najznakomitszych sokołów, a to z powodu swojej inteligencyi, siły, szybkości i wytrwałości. Polują z nim na dropie, gęsi, kaczki, ibisy, pardwy, pawie i zające. Im dłużej go się używa, tem lepszym się staje; przyzwyczaja się łatwo do ludzi i psów i wykazuje nadzwyczajną podatność do nauki. Wraca na każde zawołanie na dłoń i cieszy się, jak pies, przed wyruszeniem na łowy. Szczególniejszą inteligencyą odznaczają się samice. Za sztukę dobrze ułożoną płacą tam 400 i więcej koron.

Jesteśmy u kresu biografii kokosznika. Wypadła może za szczegółowo, jednak chodziłoby o to, by największego wroga łowiectwa i gospodarstwa o ile możności wiernie opisać, szkodliwość jego wykazać, przez to zwrócić na niego uwagę drużyny myśliwskiej i spowodować powszechne i bezwględne tępienie go o każdej porze i przy każdej sposobności.



---

drabinki do poddaszy, preparują lizawki, cha! cha! cha! odgartują śnieg na linjach! Tak, tak bracie! Nawet o drobnostkach pamiętamy. N. p. widzisz, oni wszyscy czekają zawsze jak na zbawienie na nowego „Łowca“. O ile który nie płacił porządnie wkładek, to musi tyle razy chodzić do administracyi i ekspedycyi niebiesklej, która jest o pół mili odległa, ile razy przeczytał obojętnie na ziemi wezwanie do zapłacenia zaległych wkładek. Na jedno tylko nie mamy środka, mianowicie na blagę. Już stosowaliśmy najrozmaitsze środki, niektóre nawet trochę pomogły, ale cąłkiem nie możemy wytępić „łaciny“ ani rusz“. P. Zygmunt śmiał się wraz z łowczym tak serdecznie, aż mu łzy w oczach stanęły.

Wtem zadźwięczał donośnie dzwonek. Sala z delegatami, łowczy i wszystko zresztą znikło odrazu jak zaklęte. P. Zygmunt drgnął, a potem według zwyczaju zerwał się na równe nogi, przecierając oczy i nie mogąc oprzytomnieć. Siadł napowrót na łóżku i szukał oczyma łowczego i sali delegatów. Ate zwrok napotkał znane mu sprzęty tego kawalerskiego pokoju. Niestety wszystko było snem, Spojrzał na zegarek. Było po 7-mej i trzeba było ubierać się. Ale na wspomnienie niebieskiego losu delegatów wybuchnął znowu serdecznym śmiechem.

E. S.

Korespondencje.

Cieszacin Wielki, p. Jarosław, 25. kwietnia 1910.

Szanowny korespondent z Łuki, w 7. numerze „Łowca“, wspomina, że w żadnem dziele naukowem nie znalazł wzmianki o dziwnych odgłosach, wydawanych na wiosnę przez dzięcioły. Prawdopodobnie nie czytał szanowny korespondent znakomitego dzieła Taczanowskiego pod tytułem „Ptaki krajowe“. Znakomity ten nasz ornitolog wspomina przy dzięciole pstrym większym, że na wiosnę, usiadłszy na suchej gałęzi, wydaje dziwne odgłosy, które bardzo daleko słychać. Ja od siebie chciałbym tylko tyle dodać, że te dziwne odgłosy nietylko dzięcioł „pstry większy“ wydaje, ale także dzięcioł „pstry średni“ i dzięcioł „pstry mały“, tylko naturalnie stosunkowo słabsze. W mojej okolicy, jak tylko zapamiętać mogę, zawsze na wiosnę słyszałem te odgłosy, wydawane przez dzięcioły. Dzięcioły tak grające, widziałem nietylko na dębach, ale także na sosnach, a raz widziałem dzięcioła „pstrego małego“ siedzącego na bardzo grubej gałęzi wiązu, zwieszającego się poziomo i wydającego tak silne tony, że bardzo wątpię, żeby tak mały ptak mógł wprawić w ruch wibracyjny gałąź, mającą najmniej 20 cm. średnicy. Także na sosnach i dębach widziałem dzięcioły siedzące na grubych prawie że zawsze suchych, ale bardzo często na poziomych i tak grubych gałęziach, że jeszcze raz powtarzam jest to bardzo wątpliwe, czy dzięcioł jest w stanie gałęzie grubości od 10—20 cm. średnicy, a długich na kilka metrów, wprawić w ruch wibracyjny. Tego, czy te odgłosy wydają tylko samce, jeszcze nie zbadalem a i Taczanowski o tem nie wspomina. W tym roku pierwszego tak grającego dzięcioła słyszałem 6 kwietnia o godzinie 4 popołudniu. W przyszłości będę się starał zbadać, czy też i inne gatunki naszych dzięciołów, a szczególnie najbliżej spokrewnione z dzięciołami pstrymi, mianowicie: „dzięcioł białogrzbietny“ i „dzięcioł trójpalczysty“, nie wydają podobnych odgłosów. Jeżeli Szanowna Redakcya pozwoli, w swoim czasie moje spostrzeżenia w „Łowcu“ umieszczę.

Jan Drohojowski.

Chociaż rzecz ta z łowiectwem wspólnego nic nie ma, to jednakowoż chętnie dla jej rozjaśnienia udzielimy miejsca w „Łowcu“, wychodząc z założenia, że przyroda powinna być oblubienicą myśliwego, i nikomu tak wdzięcznie jak jemu, nie może być danem, czerpać z niej spostrzeżenia dla pożytku przyrodniczej wiedzy. (Przyp. Red.)

KRONIKA.

I międzynarodowa Wystawa łowiecka w Wiedniu. Konkurencyjna wystawa trofeów myśliwskich otwartą została 1. czerwca i trwać będzie do 21. czerwca. Wielu wystawców galicyjskich bierze w niej udział. Trofea ich zostały przeniesione do osobnego, przeznaczonego na tę wystawę pawilonu, dlatego nasza sala teraz pusta i jakby nieurządzona.

Wystawili w tej konkurencji z naszego oddziału:

Ks. Janusz Radziwiłł wystawił: 20 rożków sarnich.

Zdzisław hr. Tarnowski: 3 wieńce jelenie i 9 par kłów odyńców.

Spadkobiercy ś. p. Andrzeja hr. Potockiego: wypchanego niedźwiedzia, 4 wieńce jelenie, 8 rożków sarnich.

Ks. Henryk Liechtenstein: 8 wieńców jelenich.

Hr. Konrad Weissenwolf: 2 wieńce jelenie.

Hr. Juliusz Aleks. Bielski: 3 pary kłów odyńców, 1 parę rożków sarnich (St. hr. Mycielskiego).

Br. Jan Goetz-Okocimski: wypchanego wycinka j łeb jeleni.

Władysław Długosz: dwa wypchane niedźwiedzie.

Adam Fedorowicz: wieniec dwudziestaka.

Artur Kriser: łeb jelenia, 2 wieńce jelenie.

Hugo Mosler: 3 wieńce jelenie.

Juliusz Kownacki: 8 rożków sarnich.

Międzynarodowy turniej myśliwskich fanfar (muzyk i rogów myśliwskich) odhędzie się 15. czerwca.



Sprawy Towarzystwa.

Delegatami gal. Tow. łowieckiego mianowani zostali dodatkowo w dalszym ciągu pp. Wobr Wincenty — pow. Sambor, Kochanowicz Hilary — pow. Stryj i Gürtler Władysław — p. Zaleszczyki.

Wpisali się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego za sprawą p. Henryka Preka.

P. Burzyński Stanisław.

Za sprawą zaś p. Dr. Karola Matyása pp.:

Bulaga Feliks,
Koestlich Stefan,
Łącki Sylwester,
Pisarski Dr. Tadeusz.
Sołtys Władysław,
Stojowski Adam,
Tyczka Franciszek,
Wesołowski Kamil,
Zeńczak Bolesław.

Wydział Towarzystwa.

OD REDAKCJI.

Zwracamy się do naszych Szan. Spółpracowników z uprzejmą prośbą, by raczyli swe korespondencje i artykuły pisać w sposób ogólnie w dziennikarstwie przyjęty. Mianowicie powinne one być pisane na przepołowionym wzdłuż arkuszu papieru i tylko na jednej jego stronie i to atramentem, a nie ołówkiem.

Imiona własne, nazwiska osób i miejscowości, wreszcie podpisy, winny być pisane jaknajwyraźniej celem uniknięcia łatwych, a przykrych nieraz pomyłek.

Wreszcie upraszamy naszych Korespondentów, by wszelkie pisma swe nadsyłali li tylko pod adresem Redakcji, względnie Administracji „Łowca“, lub Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, a nie pod adresem osób, w biurze Towarzystwa pracujących.

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**